№ 43. Warszawa, dnia (14) 27 Października 1900 roku. Rok XLII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie:		Z przesyłką pocztową:	
kwartalnie . . .	rs. 1	kwartalnie . .	rs. 1.25
Za odnoszenie do domu kop. 10.		półrocznie . .	„ 2.50
		rocznie . . .	„ 5.—

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie: Kwartalnie flor. 1.80. Na prowincyi flor. 2.20. W Poznaniu kwartalnie mr. 3, na prowincyi mr. 3.75. W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60, lub walutą zagraniczną podług kursu.
Agencye główne na Galicyę: we Lwowie Agencya dzienników i inseratów St. Sokołowskiego Pasaż Hausmana l. 9; w Krakowie Księgarnia S. A. Krzyżanowskiego. Agencya główna na Niemcy Księgarnia Świętego Wojciecha w Poznaniu.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitu jednoszpaltowy lub jego miejsce kop. 12 „Nadesłane" wiersz garmontu kop. 50. Ogłoszenia przyjmuje Administracya pisma i wszystkie biura ogłoszeń warszawskie i znaczniejsze zagranicą. Zmiana adresu kop. 15.

Adres Redakcyi i Administracyi:

Warszawa, Chmielna 26.—Telefon 106.

Władysław Umiński.

Na szczytach.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Dalszy ciąg).

Zapewne, że Furini, natura czysta, bezinteresowna, daleka od nizkich pożądań, uczyniłby tak, gdyby nie to, że jego położenie materyalne było rozpaczliwem. Straciwszy cały osobisty majątek na kosztowne doświadczenia, musiał myśleć o zabezpieczeniu sobie bytu, w przeciwnym razie zostałby proletaryuszem inteligentnym, zamknąłby sobie drogę nietylko do dalszej pracy, nie miałby prawa i odwagi sięgnąć po rękę Angeli, którą, pomimo wszystkiego, kochał dotąd, ale może nawet ujrzałby się znaglony pójść na służbę do jednego z zasobnych kolegów, eksploatującego jego własną kopalnię.

Benedetto zbyt wierzył w niesłychaną płodność owej kopalni, zbyt dobrze widział liczne zastosowania swego gazu do celów praktycznych, aby z lekkiem sercem wypuścić z ręki tę potężną broń.

Wprawdzie prawo zabezpiecza produkty umysłu, lecz tylko takie, które przybrały całkiem konkretną, nadającą się do natychmiastowego spożytkowania postać — patentować można tylko wynalazki. Odkrycie naukowe, choćby najpłodniejsze, jest tylko punktem wyjścia—zasadą, która staje się własnością ogółu z chwilą, kiedy świat się o niem dowiaduje.

Furini po gruntownej rozwadze obrał drogę, która wydawała mu się jedyną w danym wypadku; postanowił dać poznać światu swój gaz, lecz zachować dla siebie tajemnicę otrzymywania go. W ten sposób, jak sądził, uczyni zadość obowiązkom uczonego wobec wiedzy, a zabezpieczy sobie na pewien czas przynajmniej możność robienia na zdobytym gruncie wynalazków, do których musiał się obecnie zwrócić.

Sąsiedzi byli niezmiernie zdziwieni, że słyszane przez nich huki w laboratoryum nagle ustały; zdziwienie hołoty podzielali znajomi Furiniego.

Młody uczony opuszczał na całe dnie pracownię, wynajął sobie kawalerskie mieszkanie w środku miasta i zachowywał się zupełnie naturalnie. Jak zapewniała jego kucharka, spał dobrze, miał dobry apetyt, rozmawiał, jak każdy inteligentny i dowcipny człowiek, a dni przepędzał przy biurku na pisaniu.

Nogari, który wrócił ze swych majątków, w tydzień po tym przewrocie odwiedziwszy przyjaciela, zaledwie go poznał.

— Skończyłeś nareszcie?—zagadnął, po serdecznem przywitaniu.

— Niby tak, niby nie — lecz dokonałem, co było najważniejsze; za parę dni jadę do Rzymu, przedstawić naszej akademii moje odkrycie, stamtąd zaś do Paryża. Czy nie zechciałbyś uprzedzić Angeli, że będę u niej jutro albo pojutrze?

Marco zmieszał się.

— Pragniesz odwiedzić signorinę Angelę?— wyjąknął.

— Oddawna miałem zamiar to uczynić — odparł z uśmiechem młody uczony — nawał pracy nie pozwolił mi jednak na tę przyjemność. Zapewne czuje się trochę urażoną, co?...

— Prawdę mówiąc, signorina Dolce i jej rodzice uważają twą długą niebytność w ich domu za zerwanie stosunków. Angela czuje się nadto dotkniętą...

— Co za przypuszczenia!—zawołał Furini.— Idź i powiedz, że ani na chwilę nie postała w mej głowie myśl podobna—wytłómacz mnie przed Angelą; przecież wiedzą jak byłem zajęty. Czuje się dotkniętą, powiadasz?

— Twoją odmową.

— Więc ona naprawdę przypuszczała, że jestem chory? Biedaczka. Pójdziesz, Marco, zaraz? Zrób to dla mnie, proszę cię, wiem, że potrafisz roztopić lody, wytworzone mojem, przyznaję, trochę zimnem zachowaniem się względem Angeli. Nieprawdaż?

Przyjaciele rozstali się; Nogari poszedł spełnić powierzoną sobie misyę, Benedetto siadł do biurka, gdyż pragnął pokazać narzeczonej wykończoną notę o swem odkryciu.

Nazajutrz w południe młody uczony z rękopisem w kieszeni otwierał żelazną furtkę, prowadzącą do domu Dolcich. Od pięciu przeszło miesięcy nie był tutaj, i teraz wyrzucał sobie tę obojętność, a raczej to zapomnienie się. Uraza, którą pozostawiła w jego sercu owa scena w laboratoryum, zatarła się i Benedetto czuł obecnie wdzięczność dla narzeczonej za jej troskliwość, i obiecywał sobie w duchu, że zrobi wszystko, aby przywrócić poprzedni do niej stosunek.

Na werendzie, tonącej w miłym cieniu, stał fotel i stolik, przy którym zwykle czytywała Angela; lecz zarówno tutaj, jak w salonie, wychodzącym na ogród, Benedetto nie dostrzegł nikogo. Z bocznych drzwi wyjrzała głowa służącego, który na widok młodego uczonego cofnął się.

Furini usiadł więc, aby poczekać. Zdawało mu się, że w sąsiednim gabinecie parę osób prowadzi rozmowę stłumionym głosem, słyszał nawet szelest jedwabnej spódniczki, i serce zabiło mu, gdyż lada chwila spodziewał się ujrzeć Angelę.

Upłynęło jednak dobre dziesięć minut, a nikt się nie ukazywał. Zniecierpliwiony Benedetto zaczął przechadzać się po salonie.

Dawniej jego przybycie podnosiło na nogi cały dom; służba biła mu pokłony, państwo Dolce wybiegali na jego spotkanie... Dlaczego każą mu tak długo czekać? Przecież widziano go, jak wchodził na werendę. Czyżby

naprawdę Angela i jej rodzice uważali go już za obcego?

Nareszcie klamka skrzypnęła, podwoje gabinetu rozwarły się, lecz zamiast uśmiechniętej i zarumienionej wzruszeniem twarzyczki Angeli, stał w nich poważny signor Dolce, w rannym szlafroku, w jedwabnej szlafmycy.

Na jego starannie wygolonem, pofałdowanem, pełnem obliczu, Benedetto czytał zaambarasowanie pomieszane ze zdziwieniem.

— Ah, to pan! — rzekł chłodno pan Domenico, odpowiadając skinieniem głowy na uprzejme powitanie młodego uczonego.—Rzeczywiście, niespodziewany gość; wybaczy pan, ale nie miałem czasu się ubrać.

Furini czuł na sobie badawcze, niespokojne spojrzenie piwnych, biegających oczu signora Dolce, które go zmieszało.

— Dziwiliście się zapewne, moi państwo, dlaczego od tak dawna nie odwiedzałem ich— rzekł, siadając na wskazanem mu lekkim gestem krześle. Przyznaję, że zasłużyłem na surowe wymówki. Tłómaczyć mnie może ta jedna okoliczność, że przez kilka ubiegłych miesięcy pracowałem bez wytchnienia... Pragnąłem doprowadzić do końca moje doświadczenia i z dumą mogę dziś powiedzieć, że zrobiłem bardzo wiele...

— Doprawdy?—rzekł pan Domenico obojętnie.

— Tak panie, najważniejsza część programu wykonana; za kilka dni wyjeżdżam do Rzymu i do Francyi, aby przedstawić ciałom naukowym moje odkrycie... Spodziewam się, że doznam przychylnego przyjęcia. Zanim jednak opuszczę Sycylię, muszę zobaczyć się z signoriną Angelą i usprawiedliwić się przed nią. Słyszałem bowiem, że poczytuje za dowód obojętności z mej strony to, co było koniecznością...

Signor Dolce słuchał, bębniąc palcami po stole, i nie spuszczając oczu z młodego uczonego.

— Chciałbyś pan zobaczyć się z Angelą?— rzekł, kiedy Benedetto skończył. — Bardzo mi przykro, ale to jest niemożliwe; moja córka przed kilku dniami wyjechała do krewnych na wieś i zapewne nie prędko powróci. Jeśli mam być otwartym — dodał po chwili wahania — to Angela zapewne nie czuje potrzeby widzenia się z panem—dziwię się, że nie odesłała panu pierścionka; miała to uczynić oddawna, może bowiem uważać się za zwolnioną z danego słowa wobec pańskiego postępowania względem niej i wogóle względem wszystkich.

— Mojego postępowania?—powtórzył Benedetto zdziwiony.—Alboż uczyniłem komukolwiek co złego? Signorina Angela domagała się, abym porzucił zajęcia, które podług jej mniemania ujemnie wpływały na moje zdrowie; nie przychyliłem się do jej próśb dlatego, bo nie potrafiłem zatrzymać się w połowie drogi. To małe nieporozumienie nie wpłynęło jednak ani trochę na moje uczucia, nie uwierzę też nigdy, aby oddziałało ono na uczucie pańskiej córki. Cóż więc znaczą pańskie słowa? Czyżbyś pan zamierzał ukarać mnie tak bolesnym żartem za moją pozorną obojętność?

— Nie żartuję bynajmniej—odparł chłodno signor Domenico—gdyby zresztą Angela żywiła dotąd dawne przywiązanie do pana, o czem wątpię, to wiadomo panu dobrze, że położenie zmieniło się.

— Co się zmieniło? Nie rozumiem pana!— zawołał Benedetto, którego ta rozmowa zaczęła niepokoić i drażnić.

Signor Dolce uśmiechnął się ironicznie.

— Tak jest, szanowny panie, okoliczności zmieniły się—mówił coraz zimniej—poświęciłeś cały swój majątek na doświadczenia naukowe. To bardzo pięknie, ani słowa — bardzo szlachetnie nawet, tylko, że ja nie mogę obecnie powierzyć córki swojej człowiekowi, który wszystko stracił, a w dodatku zerwał z rodziną...

Furiniemu ciemna mgła zasłoniła wzrok; wlepiał oczy w signora Dolce, lecz widział tylko wielką, białą plamę, która co chwila zmieniała kształty. Instynktownie podniósł dłoń i przyłożył ją do czoła, okrytego zimnym potem. Czyż to był ciężki, okropny sen, czy okrutna rzeczywistość?

— Ah, panu idzie o majątek! — zawołał chrapliwie.— Signorina Angela jest bogatą, chcesz więc pan mieć także bogatego zięcia, i bardzo słusznie. Ale nie lękaj się pan, niebawem odzyskam to, com wydał... pańska córka będzie nietylko opływała w dostatki, ale zostanie żoną milionera... Moje odkrycie przyniesie dużo, ile tylko zapragnę — po powrocie z Paryża przystąpię natychmiast do wyzyskania go dla celów praktycznych, zacznę robić wynalazki, sprzedam patenty. Za rok najdalej będę miał w kieszeni wszystkie moje nakłady, a nawet więcej... To drobnostka! Gdzie bawi Angela? Pragnę się z nią rozmówić osobiście...

Młody uczony nie widział, że wielka żółtawo-biała plama kiwała się niedowierzająco, nawet złośliwie.

— Ah, tak, wynalazki, odkrycia—patenty... bardzo możliwe—mruczał signor Domenico.

Benedetto przetarł oczy, i podniósł się z trudnością.

— Liczę także na nagrodę akademii francuzkiej — rzekł — pięćdziesiąt tysięcy lirów; na razie to mi wystarczy...

— Na dalsze doświadczenia?..

— Na eksploatowanie odkrycia i na wykupienie pierwszych patentów — mówił Furini, nie spostrzegając ironii. — Możesz więc pan być spokojny; co do Angeli, to nie wątpię, że mi przebaczy... wytłómaczę się... pojadę do niej na wieś...

— Moja córka nie będzie mogła powiedzieć panu nic innego, jak tylko to, co usłyszałeś pan przed chwilą odemnie — rzekł sucho signor Dolce.—Daremniebyś się pan trudził.

— To fałsz!—wybuchnął młody uczony... — Angela posiada zbyt czystą duszę i serce, żeby się miała w uczuciach rządzić nizką rachubą, aby się odwrócić odemnie wtedy, kiedym pracował dla naszego wspólnego szczęścia. Ja chcę z nią mówić! Natychmiast! Ona tu jest!

(Dalszy ciąg nastąpi).

SIENKIEWICZ.

przez Józefata Nowińskiego.

(Dalszy ciąg).

V.

Tajemnicę tworzenia w jednej osobie człowieka i wcielenie idei tylko najwięksi artyści zdołali zdobyć. Te dwie cechy w niektórych postaciach Henryka Sienkiewicza łączą się, jak w rzeczywistości. Myślę w tej chwili o Jeremim Wiśniowieckim, Bohdanie Chmielnickim, Januszu Radziwile i Kordeckim. To są niby olbrzymie symbole i ideje, a tymczasem postacie ich ludzkie w każdym momencie widzimy tak, jakbyśmy na nie oczyma ciała patrzyli w podziwie, za którymby stało uwielbienie, lub strach.

Książę Jeremi — to wcielenie mocy, geniuszu, dumy, honoru i bohaterstwa Rzeczypospolitej, które Sienkiewicz każe nam widzieć oczami wojsk i ludów, a wielbić sercem całego wielkiego narodu.

Postać to nawskroś natchniona. Sienkiewicz nie poprzestaje na opowiedzeniu, jak wojsko czciło go, i kochając, drżało przed nim, jak posłowie zagraniczni mieszali się przed jego jasnem, niby słodkiem, a pełnem tajemniczej mocy spojrzeniem, jak spokojny lud wielbił w nim sprawiedliwego i dobrotliwego pana, a zbuntowany, choćby na drugim krańcu Ukrainy, drżał na dźwięk jego imienia. W szeregu scen i szczególnie tych dziwnych opisów, niby analitycznych, które są czemś pośredniem między mową porywającą, kartką z historyi, a pieśnią z poematu—każe on nam odczuć urok jego majestatu, na który składają się — i nieugiętość woli, i niezłomność duszy, i geniusz wojenny, i mądrość organizacyjna administratora, i zapał rycerza. Czytelnik od początku do końca każdym nerwem wierzy, że dźwigać losy całej Rzeczypospolitej nie byłoby za ciężko jego barkom.

Jednym z takich szczytnych w nastroju, porywających stylem, mądrych i obrazowych opisów jest milczące pożegnanie się księcia z Łubniami i przysięga na kurhanie. Sobą też jest łaskawy i straszny kniaź i w bitwie pod Machnówką, i przyjmujący poselstwo od Chmielnickiego, i z listem od Kisiela, i słuchający wieści o nominacyi regimentarzy. Ów kulminacyjny moment jego walki wewnętrznej wobec alternatywy: albo poddać się pod komendę regimentarzy, czyli skazać siebie na zgubną dla ojczyzny bezczynność, albo też ze zgubną dla ojczyzny wzgardą zwierzchności i prawa, porwać się na jej ratunek, jest u szczytu twórczości nawet Sienkiewicza. Na zakończenie, całe bohaterstwo Zbaraskie — to dusza Jeremiego Wiśniowieckiego.

Chmielnicki—„lew i lis, orzeł i wąż“ staje przed nami niemniej wyraziście we wszystkich tych swoich postaciach tak, że w jego odwadze szalonej czujemy mądrość i przebiegłość, w chytrości orle poloty, w płaszczeniu się nawet — odwagę i tę właściwą mu dziwną dumę, taką złożoną i pełną sprzeczności, jak

cała jego dusza. Chmielnicki, oskarżający Tatarczuka na radzie, potem—wobec starszyzny i ludu w czasie wojny, i wobec Tuhajbeja i chana, i wobec poselstwa królewskiego i na uczcie, i wobec najbliższych swoich—to szereg objawień historyczno-artystycznych.

Janusz Radziwił jest, jeżeli nie więcej, to i nie mniej wyraźny, niż tamci dwaj. Jeremi — to olśniewający blaskiem swych skrzydeł, archanioł wojny, widziany, jakem rzekł, oczami wojsk i ludów. W Chmielnickim czujemy dyabła, może tylko chwilami, na polu bitwy, jako w wodzu zrozpaczonym, co się w szalejącego żołnierza zmienia, ale w jego majestacie hetmańskim tyle jest pijanego chłopa, w pijanym chłopie tyle dzikiego zwierzęcia, co w całości jego duszy—rzetelnej powagi i prawdziwie ukraińskiej dobrotliwości.

W księciu Januszu — w lwiego męztwa wielkim wodzu, zarówno jak w piekielnej pychy magnacie, czujemy jakiś pierwiastek demoniczny. Dreszczem napełnia nas jego wspaniałość udzielna, prawie przeraża łaskawość sztuczna, w jego gniewie czujemy grozę żywiołową, strach nadprzyrodzony chwyta nas wobec jego walk wewnętrznych, gdzie — nie ideał walczy z ideałem, jak olbrzym z olbrzymem, podczas gdy na walkę patrzą zagrzewając ją tylko, niby żony wierne, duma i żądza czynu, ale—jeden demon pychy—z drugim.

Z innych typów „Trylogii" mniej wielkich, lecz niemniej wyrazistych, należałoby nazwać oczywiście Zagłobę i Kmicica. Pierwszy—to przedewszystkiem humor narodowy i zbiorowisko wszystkich wad ówczesnych szlacheckich — facecyonizm, opilstwo i warcholstwo, pod których powodzią kryje się jednak żywa i silna, szczera miłość ojczyzny, cześć honoru narodowego i słowiańsko-czułe i wierne serce dla ludzi; one to przy bystrym umyśle, co służy jeszcze lepiej zaletom, niż wadom, każą mu lgnąć do dobrych i wzniosłych, nie do złych i płaskich.

Zbyt on jest w śmiechu i sercu wszystkich, żeby się wolno było zbytnio rozwodzić nad tym typem wyindywidualizowanym z najwyższym artyzmem; *bardziej* oryginalnego nie widział świat, ani *bardziej* polskiego—literatura polska.

Wielki żołnierz i zawadyaka, pułkownik i warchoł, szaleniec pełen fantazyi rycerskiej i pychy wielkopańskiej, czy szlacheckiej, obcy wszelkiemu pojęciu o obowiązku społecznym i karności społecznej — to Kmicic pierwotny. W czasie nieprzełomowym taki mógł sobie płaszcz wyrokami podbijać, z kordem w ręce na czele watahy szlachecko-zbójeckiej, urągając prawu, lub nawet opinii publicznej. Ale oto w ciężkim „paroksyzmie," jaki na kraj przychodzi, to potworne rozumienie swej wolności osobistej i godności, szczególnie dzięki talentom wojennym, stacza duszę jego na coraz niższe stopnie zbrodni, już nie przeciw osobnikom i wsiom, lecz przeciw krajowi całemu.

Ale wtedy widok nędzy i upadku ojczyzny, zrozumienie prywaty i podłości tych, komu duszę zaprzedał, budzi w nim litość i miłość dla matki, otwiera oczy na ogrom wyrządzonych jej przezeń krzywd. Rozpacz dzika przeradza się w żal głęboki, skruchę, pragnienie poprawy. Gniew, pycha, obok ciężaru przeszłości strącają go kiedy niekiedy z początku z drogi, ale powoli przychodzi takie panowanie nad sobą, że aczkolwiek po walce wewnętrznej dobrego ze złem, zdobywa się on na złożenie u stóp owej matki nieszczęsnej nawet najwyższych marzeń o szczęściu osobistem, chociaż włożył w nie cały ogień swojej natury, całą nowonarodzoną dumę z zagładzenia win, żądny rehabilitacyi w oczach najukochańszego sędziego.

I to taki żywy człowiek, którego umysł nasz też gwałtem wyobraźni wydrzeć usiłuje, by zeń uczynić symbol, czy wcielenie zbiorowiska głównych cech narodowych.

Inne typy w „Trylogii" dlatego tylko zdają się nam mniej ludźmi, że bardziej są prości i jednostajni. Kmicic np. staje przed nami, jak gdyby w różnobarwnym stroju szlacheckim, co nie krępuje całej rozmaitości swobodnych ruchów, kiedy ciężki pancerz rycerza zarówno bez strachu jak i bez zarzutu, nadaje ruchom Skrzetuskiego pewną pozornie maszynową powagę, dokładność i jednostajność. Dusza jednego — to malowidło żywe lśnieniem barw, drugiego — to z jednej bryły wykuty posąg rycerza Bożego. W pierwszem tysiąc załamań i zakrętów, w drugim kontury wyraźne i surowe.

Jeden, lub drugi z typów tych może być nie dlatego milszy, że jest żywszy i prawdziwszy, lecz dla takich samych powodów, dla jakich jeden żywy człowiek sympatyczniejszy nam jest, od drugiego.

Inaczej nieco może jest z Bohunem, w którym nietylko czujemy wrzącą krew młodzieńca i szalone męztwo żołnierza, ale jakieś uroki czarodziejskie, poza wszelkiemi kryteryami rozumu, działające na duszę, jak bujny wiatr stepowy—tchnienie Ukrainy, jak burza łamiące drzewa i ciskające Dniepr czarnym chmurom, jak dumy lirnika o bohaterstwie mołojców, jak łzawa pieśń o tęsknocie miłosnej, takiej niezmiernej i smętnej, jak sam step najeżony mogiłami

To też ów wykrzyknik Skrzetuskiego po poznaniu watażki kozackiego: „jakie to szczęście, że on przy niej (Helenie) człowieka rozszczepił" — jest jednem z niezliczonych świadectw niesłychanej świadomości twórcy. Istotnie, bez tego drobnego pozornie szczegółu, o którym starannie zapominają poszukiwacze dziur na całem, nietylko uwaga czytelnika, lecz i serce bohaterki musiałoby się naprawdę goręcej zwrócić ku Bohunowi.

Helena, to postać też mało złożona. Tę Rusinkę obdarzył autor prostemi i kardynalnemi cechami niewiasty polskiej. W smutku nawet pogodna, cicha, a niezłomna w miłości i wierności. Zamknąwszy książkę, najwyraźniej ją widzę jako hożą i piękną wdziękiem lata matkę licznej dziatwy, kiedy usłyszawszy od męża, że „trzeba iść" —„cała we łzach nietoga" odpowiada: „idź."

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Seans spirytystyczny.

z opowiadania nauczycielki.

Dziwnie dobraliśmy się w tym starym, poleskim dworze.

Byli tam przedstawiciele kilku pokoleń — była babka gospodarza, staruszka osiemdziesięciokilkoletnia, o suchej, pergaminowej twarzy i mistycznych, pełnych ognia oczach. Jak te oczy płonąć musiały za młodu! Był syn jej, stary, milczący poleszuk, którego dusza przed wszystkimi zamkniętą była pieczęcią tajemnicy. Matka chyba jedna czytać w niej mogła, i umiała. Był gospodarz domu, człowiek oddany pracy, trwożliwy jakiś i smutny, i żona jego — natura bujna, artystyczna, szarpana głodem wrażeń w tej pustce odludnej; był brat jej dekadent, chwilowo przebywający u siostry. Senna cisza Polesia oddziaływała dodatnio na nerwy jego, znużone wrzawą stolic europejskich i nadmiarem użycia. Ten człowiek bowiem pił ze wszystkich czar. I było dwoje dzieci wątłych i smutnych, przedwcześnie dojrzałych i dzikich zarazem. Dzieci te, powierzone wyłącznie mojej opiece i kierunkowi, przywiązały się do mnie z jakąś szczególną, chorobliwą prawie tkliwością.

I ja polubiłam je bardzo.

Polubiłam tu wszystkich i wszystko. Mieli ci ludzie w sobie coś dziwnie charakterystycznego. Każdy był tutaj skończonym w sobie typem, a nawet typem pokolenia, do którego należał.

Zresztą, dobrzy byli dla mnie; nie krępowali mnie niczem. Nie było tu ani śladu burżuazyjnej ciekawości, mieszania się do cudzych spraw, z któremi spotykałam się w innych domach. Każde z nich żyło życiem swojem wewnętrznem, a życia tego była widać taka pełnia, takie bogactwo, że o zajmowaniu się drugimi, o wnikaniu niedyskretnem w ich przeszłość i teraźniejszość, o narzucaniu poglądów swoich i uwidzeń, mowy nawet być nie mogło. Dziwne mieli ci ludzie poszanowanie dla indywidualności każdego.

Stara pani Sawiczowa — takie było ich nazwisko rodowe — żyła wspomnieniami, które wywoływać lubiła, a miała w sobie dotąd niewychłodły entuzyazm romantycznej doby, z którym dziwnie pięknie było białym jej włosom. Uważnie i ciekawie słuchałam jej opowiadań, i tym sposobem zapewne zadzierzgnęła się pomiędzy nami nić sympatyi, o której jednak nie mówiłyśmy ze sobą nigdy, bo w tym domu nauczyłam się i ja wewnętrzne życie moje kryć przed oczami ludzi, nauczyłam się milczeć wtedy nawet, gdy dusza wołała o słowa, by wyśpiewać niemi jakąś rwącą się pieśń życia.

Mistrzem milczenia był stary pan Romuald. Wydawał mi się niekiedy starszym od matki.

Przez zaciśnięte jego usta tak rzadko przedzierało się słowo jakiekolwiek, że przez tę niezwykłość swoją nabierało znaczenia i powagi wyroczni. A przyznać trzeba, że były to zawsze słowa pełne siły i rozumu.

Pan Romuald dni całe przesiadywał w bibliotece zaopatrzonej wspaniale, zwłaszcza w książki treści historycznej, robił wyciągi, notatki; zapewne układał jakieś dzieło, ale stosując się do przyjętego w domu tym zwyczaju, który zresztą dziwnie własnym upodobaniom moim dogadzał, nie pytałam nigdy, nad czem pracuje. Wiem jednak, że pracę tę matka jego i syn uważali za nadzwyczaj ważną.

Do biblioteki wolno było wejść wieczorem dopiero, gdy pan Romuald robotę swoją przerywał, i szedł odpocząć przy kominku w zimie, w lecie—na ganku, zapatrzony w gasnące nad łąkami zorze!

Pan Michał, przedstawiciel trzeciego pokolenia, na szerokich, pochylonych barkach swoich dźwigał byt całej rodziny. Praca, ciężka, znojna praca wypełniała wszystkie dni i godziny jego żywota. Pierwszy wstawał o świcie—kładł się ostatni. Uśmiechu wesela nie widziałam nigdy na jego twarzy; tępy jakiś smutek, zalęknienie dziwne malowały się na niej zazwyczaj. Patrząc na niego, myślałam czasem, że człowiek ten przyjść musiał na świat w godzinach wielkiej trwogi, gdy dokoła pożarem płonęły wioski, gdy po drzewach puszcz szedł wichr jęku, gdy węże błyskawic z trzaskiem piorunowym biły o ziemię... Wydawał mi się najmniej ze wszystkich pociągającym i najgodniejszym pożałowania.

Dzięki jego trudom mogła staruszka dosnuwać spokojnie srebrnej przędzy swego żywota—mógł ojciec tonąć dowoli w ukochanym, bibliotecznym pyle — mogła żona bujać wyobraźnią po jakichś krainach, wszystkim nam obcych, mogła utrzymywać listowne choć stosunki z całym światem artystycznym, naukowym, literackim i to nietylko naszym, ale ogólnoeuropejskim światem myśli — mogła raz na rok wyrywać się z pustelni poleskiej i wylatywać jak ptak krasnopióry ku ogniskom cywilizacyi, ruchu i życia, do których pociągał ją jej temperament, jej niezwykłe zdolności umysłowe, jej przeznaczenie poprostu.

Bo pani Natalia nie była przeznaczoną do życia, które jakimś przypadkiem chyba dostało jej się w udziale. O kilka lat młodsza od męża, bardzo piękna — dziwną jakąś i niezwykłą pięknością — łączyła zdolność bystrego i głębokiego rozumowania z subtelną wrażliwością estetki, z wyobraźnią olśniewającą poprostu.

Co zagnało tę kobietę w głuszę poleską — nie wiem; wiem, że dzięki jej miałam wiadomości ze wszystkich stron świata. Szybciej dochodziły w to ustronie, niż do Warszawy. Pani Natalia co parę dni otrzymywała z poczty paki całe listów, pism naszych i zagranicznych. Przesyłki tej wyglądała zawsze z upragnieniem. Chwila przybycia poczty była chwilą uroczystą; gabinet pani stawał się podobnym do jakiegoś redakcyjnego biura. Ona sama ożywiała się niezwykle, oczy jej płonęły; wtedy wołała mnie do siebie, i dzieliła się ze mną otrzymanemi wiadomościami; czytałyśmy razem, rozprawiały—były to przyjemne bardzo chwile.

Dziećmi nie zajmowała się prawie wcale. Męczyły ją. Była mi szczerze wdzięczną za to, że ze spokojem mogła powierzyć je mojej opiece. — Nie mam najmniejszych zdolności pedagogicznych—mawiała. I było to prawdą. Wogóle ta kobieta nie kłamała nigdy, i nie starała się nigdy wydać lepszą, niż była.

Malowała ładnie, miała piękny głos, ale śpiewała tylko wieczorami, gdy wszyscy rozeszli się już do swoich pokojów. Pisała dużo; czy drukowała gdzie swoje utwory — nie wiem. Nigdy też nie dała mi do przeczytania, najmniejszego bodaj, fragmentu.

Co tę kobietę tak wysoce uzdolnioną artystycznie, z myślą rozkołysaną, z sercem dosyć chłodnem zatrzymywało w tej pustce poleskiej—pojąć poprostu nie mogłam.

Jestem pewną, że gdyby rzuciła to gniazdo, na skrzydła jej za szczupłe, nikt z nich nie potępiłby jej za to, nie doszłoby ją ani jedno słowo wyrzutu, czy skargi. Tylko może smutne źrenice pana Michała posmutniałyby bardziej jeszcze, a w sercach dzieci wzrosłaby namiętna tkliwość dla mnie i dzikość i nieufność do ludzi. I to może przytrzymywało ją właśnie.

Tak, lubiłam tu wszystko—dwór stary, modrzewiowy, z podwójnym dachem, z małemi oknami, stylowy dwór szlachecki. Nic tu nie raziło dysonansem. Pani Natalia miała tyle gustu, że żadnym okazem nowożytnego komfortu nie naruszyła panującej tu harmonii.

Lubiłam ogród tutejszy, cienisty, ciemny. Nigdzie nie widziałam, doprawdy, takich odwiecznych i takich olbrzymich drzew, jak tutaj. Aleja prowadząca do dworu, wysadzana białodrzewami, podziw budziła we mnie.

W księżycowe letnie noce drzewa te wyglądały jak olbrzymie harfy srebrne, szemrzące cichą jakąś pieśń.

Wszystko tu było olbrzymie, dawne, i przemawiało do duszy słowem przeszłości bogatem i uroczystem.

Można tu było rozmarzyć się i żyć marzeniami swemi, zapomniawszy o świecie.

Helena Ceysinger.

(*Dokończenie nastąpi*).

Małżeństwo w Chinach.*)

Starzy kawalerowie w Chinach należą do fenomenalnych zjawisk. Stary kawaler i stara panna są wyłącznym produktem cywilizacyi zachodniej; dla Chińczyka podobny sposób życia wydałby się wstrętnym.

W Europie obowiązuje prawo, że każdy zdolny do służby wojskowej mężczyzna musi być żołnierzem; w Chinach należy zamiast wyrazu żołnierz postawić „małżonek," „mąż."

Każdy poważny Chińczyk zalicza bezżeństwo do rzędu występków, a conajmniej do ułomności moralnych; trzeba mieć gruntowne przyczyny, aby nie zostać potępionym za niewstąpienie w związki małżeńskie; w Europie, dodaje złośliwie Tszeng, dzieje się przeciwnie — małżeństwo wybacza się z pewnych względów.

W Chinach zawierają związki małżeńskie w młodym wieku, przed dwudziestym rokiem życia; mąż 16-letni, a żona 14-letnia nie należą do wyjątków; kobieta 30-letnia jest częstokroć babką.

Myliłby się ten, ktoby szukał przyczyn po temu w warunkach klimatycznych; wczesne małżeństwo wypływa logicznie z rodzinnej instytucyi i z kultu przodków. Obowiązują one nietylko mieszkańców południa, gdzie panuje tropikalny klimat, ale i Chińczyka z północnych prowincyi o ostrej zimie syberyjskiej.

Skoro dziecko dojrzewa, rodzice przedewszystkiem szukają dlań małżonka; wybór zazwyczaj bywa dokonywany bardzo wcześnie, i rodzice upatrzonej osoby wciągnięci w plany małżeńskie.

Częstokroć małżeństwa są zawierane w łonie rodziny i wtedy przyjaciele starają się doprowadzić je do skutku. Narzeczeni poznają się dopiero po ślubie. Zalecanki, czyli konkury w Chinach nie obowiązują, a nawet byłyby wobec tamtejszego trybu życia niemożliwemi.

W Europie młodzi dają sobie parę miesięcy, ażeby się nauczyć wzajemnie kochać; czas narzeczeństwa upływa wesoło, wśród rozrywek, uczt i jest niejako wstępem do małżeństwa. Nikt tu nie bierze na siebie odpowiedzialności za projektowane małżeństwo. Mówi się młodym: poznajcie się, macie na to dwa miesiące czasu, potem powiecie, czy się zgadzacie, czy nie.

Ale czyż można, pyta słusznie Tszeng, poznać się tak prędko? Wobec tego lepiej jest jeżeli rodzice biorą na siebie całą sprawę wraz z odpowiedzialnością.

Słyszałem niejednokrotnie—mówił Tszeng—że czas narzeczeństwa jest najszczęśliwszym okresem dla obojga małżonków. Paryżanin np. mniema, że zdanie owo pochodzić może jedynie od człowieka żonatego. Wobec tego, trzeba przyznać, że stosunki europejskie są przynajmniej równie dziwne, jak nasze! (chińskie).

W zasadzie związki małżeńskie są zawierane pomiędzy osobami jednego stanu, równemi społecznie i majątkowo; nierówne stanowią dość rzadkie wyjątki.

Skoro wybór został dokonany, to znaczy, że rodzice wyznaczyli pannę, to niezwłocznie ci ostatni oświadczają się urzędownie w imieniu swego syna i odbywają się zaręczyny.

Przy tej sposobności rodzice i głowy rodziny z obu stron wymieniają pomiędzy sobą kontrakty małżeńskie. Ci ostatni odgrywają więc rolę urzędników stanu cywilnego i notaryuszów.

Po dokonanym obrzędzie narzeczony posyła narzeczonej, według zamożności rodziny, do której należy, dwa srebrne albo złote naramienniki, które rodzice panny związują czerwonemi nićmi, będącemi symbolem związku małżeńskiego.

W jakiś czas potem następuje uroczyste wręczenie podarunków zaręczonym.

Narzeczony przesyła swojej przyszłej kilka tuzinów ozdobnych koszów, zawierających jedwabne i bawełniane tkaniny, hafty, kwiaty, słowem wszystko, czego potrzebuje młoda kobieta do toalety. Do tych cennych zazwyczaj przedmiotów, dołącza się mnóstwo łakoci dla rodziny, pomiędzy niemi znaczną liczbę ciastek weselnych, które rodzina panny młodej rozdziela pomiędzy swych przyjaciół, obwie-

*) Podług generała chińskiego Tszeng-ki-Tonga.

szcząjąc tem samem urzędownie o mającem się odbyć małżeństwie.

Narzeczona zaraz potem przesyła narzeczonemu kostyum, a jeżeli jest on urzędnikiem, to uniform odpowiadający jego randze; ubranie to narzeczony wdziewa w dzień ślubu.

Obrządkowi zaręczynowemu towarzyszy w obu rodzinach uczta, w której biorą udział przyjaciele.

Wesele powinno się odbyć koniecznie w tym samym roku, w którym przesłano podarunki zaręczynowe.

W dniu poprzedzającym zaślubiny, rodzice panny młodej przesyłają narzeczonemu całkowitą wyprawę panny: suknie, srebro, bieliznę, meble i t. d. Przewozowi tych przedmiotów towarzyszy mniejsza, lub większa pompa.

Wieczorem tegoż dnia rodzice narzeczonego przesyłają do domu narzeczonej lektykę ozdobioną czerwonym haftem na atłasie. Odprowadza ją orkiestra i służba, niosąca latarnie, lub płonące pochodnie.

Jeżeli rodzina posiada tytuły urzędowe, to do lektyki dołącza się deszczochron czerwony i zielona parasolka, będące oficyalnemi znakami godności, a także drewniane tabliczki, na których wypisane są wszystkie tytuły, zdobyte w ciągu wielu pokoleń.

Tego samego wieczora rodzina panny młodej wyprawia wielki obiad, zwany „zaprosinami“; lektyka stoi na środku sali jadalnej, aby goście mogli ją podziwiać. Podczas obiadu przygrywa orkiestra narzeczonego, którego rodzina także wydaje obiad, gdzie goście oglądają znów posag narzeczonej.

Wczesnym rankiem w dzień zaślubin czterech przyjaciół pana młodego udaje się do mieszkania panny, i zapraszają ją, aby zechciała pójść do domu narzeczonego. Ona wsiada do lektyki niesionej przez 4, lub 8 ludzi, zależnie od dostojeństwa swojej, czy jego rodziny, i orszak, poprzedzany lektykami wysłańców-drużbów, rusza uroczyście w drogę.

Przybycie narzeczonej oznajmiają wesołe fanfary i ognie sztuczne. Lektykę wnoszą do sali, gdzie się zgromadzili członkowie rodziny, przyjaciele, druchny i drużbowie w uroczystym nastroju. Lektyka zbliża się do druchny, mającej na piersiach zwierciadło metalowe, i ta trzykrotnie się kłania; inna druchna odsłania opuszczone dotąd firanki, i prosi zawoalowaną narzeczoną, aby raczyła wyjść i udać się do swego pokoju, gdzie już na nią oczekuje narzeczony w weselnej odzieży.

Jestto chwila, kiedy narzeczeni widzą się po raz pierwszy.

Po tem spotkaniu, dwóch dawniej już żonatych i obdarzonych męzkiem potomstwem mężczyzn, wprowadza młodą parę do salonu. Osoby te noszą w Chinach nazwę „szczęśliwej pary.“

W pośrodku salonu stoi stół z winem, owocami i przyrządem do palenia. Podług zapatrywań Chińczyków, ów stół stoi wobec Nieba; młodzi narzeczeni klękają przed nim, i dziękują Istocie Najwyższej, że ich stworzyła, ziemi, że ich wykarmiła, cesarzowi, że się nimi opiekował i rodzicom, że ich wychowali, poczem młodą kobietę mąż jej przedstawia swojej rodzinie i obecnym przyjaciołom.

Podczas całej ceremonii i podanego później obiadu przygrywa bezustannie muzyka.

Prostota ceremoniału zaślubin może zadziwić europejczyka. Nie nosi bowiem ona ani religijnego, ani cywilnego charakteru; nie jest przy niej obecny żaden duchowny, żaden urzędnik; w istocie zaślubinom nie towarzyszy religijny akt i jedyni świadkowie, to Bóg, rodzina i przyjaciele.

Przez cały wieczór po obiedzie drzwi domu pozostają otworem; każdy sąsiad, a nawet obcy ma prawo wejść i przypatrzeć się nowożeńcom; panna młoda stoi oddzielona od ciekawych stołem; na którym płoną dwie świece.

Nazajutrz po weselu młoda żona wprowadza z kolei małżonka do swojej rodziny przy takich samych ceremoniach.

Tak wogóle zawiera się w Chinach małżeństwo. Rzecz naturalna, że rodziny bogate rozwijają przy tej sposobności wielką pompę; obrzęd sam nie ulega jednak zmianom.

Tszeng przypisuje duży wpływ uroczystości i ceremonii, które podnoszą ducha, mimowoli naprowadzając na myśl o czemś tajemniczem, czego niepodobna określić bliżej, ale co istnieje. Im mniejszą uwagę zwracamy na ceremonię, tem bagatelniejszym wydaje nam się towarzyszący jej postępek. Oto przyczyna, dla której zaślubiny utraciły w Europie cały swój urok dawniejszy.

Muzyka w życiu narodów

starożytnych.

EGIPCYANIE.

(Dokończenie.)

W pieczarze grobowej jednego z ulubieńców królewskich, w El-Kab, za Tebami rzeźby wyobrażają ochmistrza śpiewaków na czele dwóch śpiewaczek, klaszczących w ręce i nucących: „Wstało, wstało twoje słońce w dniu dobrym, żałobą jednak był twój dzień ostatni.“

Na innym grobowcu w El-Kab widać dwie smukłe harfiarki i zarazem śpiewaczki, jedną klęczącą, drugą stojącą: grają one, i nucą hymny, zawarte tuż obok w kilku kolumnach znaków hieroglificznych.

Na jednym z Tebańskich grobowców, uznanych przez Rosseliniego za bardzo starożytny, uderza wizerunek czterech dziewcząt nubijskich, z których trzy śpiewają, jedna zaś dmie we flet podwójny. Możnaby sądzić, iż w obrazie tym została odtworzona muzyka uliczna, od przypuszczenia tego wszakże odwodzi żałobny strój dziewcząt, zwłaszcza charakterystyczna czapeczka w kształcie jajka, używana przy wszystkich obrzędach żałobnych. Na innym grobowcu Tebańskim orkiestrę żałobną stanowią tylko dwie lutnie, towarzyszące do tańca mimicznego i aktu ofiarnego.

Nietylko jednak, jak zaznaczyliśmy to już wyżej, muzyka egipska odgrywa ważną rolę w obrzędach religijnych, przy pogrzebach i aktach ofiarnych; obniżając cokolwiek podniosły swój nastrój, staje się ona częstokroć źródłem uciech i rozweselenia w domowych, lub towarzyskich ogniskach.

Na jednej z płaskorzeźb w Beni-Hassan spotykamy wizerunek sceny z prywatnego życia ludzi, jak widać, możnych i znakomitych. Podczas gdy służące znoszą pani domu różne ozdoby i przyrządy toaletowe, harfiarz i harfiarka grają na pstro wymalowanych instrumentach, akompaniując trzem dziewczętom, śpiewającym, przy tradycyjnem klaskaniu w ręce. Jestto więc koncert domowy, rozrywający możną panią w czasie ubierania się.

Że Egipcyanie chętnie słuchali muzyki i przy wielkich ucztach, tego dowodem liczne wizerunki przedstawiające klęczących przed biesiadnymi stołami harfiarzy i harfiarki, gitarzystów i gitarzystki, kobiety i mężczyzn, uderzających w bębny, a wreszcie śpiewaków i śpiewaczki, których zadaniem było rozweselanie ucztujących gości.

Widzimy ztąd, że owe biesiady nie zawsze miały ten żałobny nastrój, jaki im przypisuje Herodot, wspominając o obnoszonym dokoła stołu wizerunku śmierci.

Że rola muzyki nietylko w obrzędach religijnych, w uroczystych procesyach, podczas przyjęć urzędowych, ale i w życiu towarzyskiem oraz prywatnem wzmagała się wraz z ogólnym rozwojem sztuki, tego dowodem formalne szkoły, rodzaj mniej więcej naszych konserwatoryów, których istnienie stwierdzają również pomnikowe rzeźby i malowidła.

Na grobowcu № 1 koło El-Amarna z czasów 18-ej dynastji widzimy całe wewnętrzne urządzenie pałacu króla Amenhotepa IV, zwanego Bech-en-aten. Między innemi odnajdujemy tutaj mieszkania śpiewaków i muzyków królewskich z licznymi instrumentami, rozrzuconymi dokoła, z harfami, lirami, nablami i t. p., zawieszonymi na ścianach. W większych pokojach muzycy pracują. Dziewczyna z charakterystycznym puklem młodzieńczości nad czołem bierze lekcyę śpiewu przy akompaniamencie liry od siedzącej jakiejś osoby; inna przysłuchuje się pilnie wskazówkom nauczyciela; jeszcze inna wreszcie, uderzając w takt rękami, odbywa próbę śpiewu z akompaniującym jej artystą; parę dziewcząt ćwiczy się w tańcu i t. d.

W epoce, w której muzyka orkiestralna (nie łączymy jej wszakże z polifoniczną, nie znaną, według wszelkich danych, starożytnym zupełnie) doszła do stopnia najwyższego rozwoju w Egipcie, kiedy na wizerunkach spotykamy największą ilość grających równocześnie harf, lir, fletów, podwójnych piszczałek, gitar i bębnów, w epoce tej weszło w zwyczaj, iż w uroczystościach pogrzebowych zaczęły przyjmować udział wyłącznie kobiety jako wirtuozki, śpiewaczki i tancerki.

Nie stosuje się to zresztą do innych obrzędów, gdzie dział muzyczny spoczywał na barkach mężczyzn wyłącznie. Śpiewacy i artyści otwierali pochody koronacyjne, przodowali aktom ofiarnym; odgłos trąb i huk bębnów był zawsze hasłem rozpoczęcia uroczystości.

Wraz z zanikiem najwyższej chwały faraonów muzyka również stopniowo zaczęła chylić się do upadku.

Panujący z „nieczystych“ etyopskich rodów, wstępując na tron Ramzesów, Tutmozisów i t. p., nie umieli otoczyć się tą szlachetną chwałą poprzedników swoich, której wyrazem były wprowadzone do obrzędów podniosłe, uroczyste pienia.

Sprowadzono ją teraz z parnasu, nastrojono na ton lekkiej, żartobliwej muzy, wnoszącej pierwsze zarodki rozkładu. Wandalizm perski dokonał reszty, zabijając zupełnie muzykę w świątyniach i podczas obrzędów. W czasie uroczystych pochodów zamiast orszaku artystów, postępował już tylko symbol muzyki.

Herodot w sto lat po najeździe Persów, opisując uroczyste procesye, wspomina jedynie o lalkach, obnoszonych przez kobiety. Urozmaicenie uroczystości stanowiły co najwyżej śpiewy przy towarzyszeniu pospolitych, hałaśliwych piszczałek. Wielkie pielgrzymki do Bubastis, którym niegdyś przodował liczny pochód artystów, teraz ograniczyły się tylko do orszaku komedyantów, klaszczących w ręce i przyśpiewujących w takt dzwonka, grzechotek, lub dmących od czasu do czasu we flety.

Ostatnie wzloty muzyki egipskiej spotykamy w 322 r. przed Chr., gdy Egipt przeszedł pod panowanie Greków, i gdy na gruzach dawnej chwały powstało świeże, kwitnące miasto, siedlisko greckiej oświaty, przed którą zaczęła blednąć tajemnicza wiedza kapłanów Memfiskich. Ptolomeusz Filadelfus sprowadził na jakiś obchód uroczysty 600 muzyków, w tej liczbie śpiewaków i cytarzystów. Ptolomeusz Auletes sam uprawiał grę na flecie.

Ściany wspaniałej świątyni na wyspie Phila pokryte są wizerunkami, w których po raz ostatni spotykamy zanikającą, wraz z upadkiem sztuki muzycznej, harfę.

Z chwilą, w której Egipt zeszedł do znaczenia zwyczajnej rzymskiej prowincyi, przeszły do Rzymu wraz z innemi zdobyczami i różne tradycye egipskie.

Zaczęto wznosić świątynie Izydy; pochody na cześć Serapisa przeciągały wzdłuż miasta przy dźwiękach sisto (grzechotek), pisku krzywych fletów i śpiewie hymnów rytualnych.

Egipskie melodye weszły w modę; podśpiewywanie ich należało do szyku; to też uczyli ich się skwapliwie eleganci rzymscy.

Wyrwanej z gruntu rodzimego istocie bytu Egipcyan, przeniesionej na obcą ziemię do zepsutego, za zbytkiem i blagą goniącego Rzymu, groził upadek.

Nastąpił on też wkrótce.

Egipcyanie, którzy życia nigdy nie brali zbyt lekko, zaczęli teraz wpadać w gryzącą melancholię. Milknął zwolna gwar ich rozmowy, a wraz z nim zamilkła na zawsze muza sztuki.

Ostatnie ślady muzyki staro-egipskiej (o ile nie weźmiemy pod uwagę pieśni przewoźników Nilowych bardzo, jak się zdaje, odległego pochodzenia) zniknęły na zawsze, gdy wraz z siłą i mieczem przemoc Arabów narzuciła Egiptowi Alkoran, gdy ze zburzonych piramid wzniesiono meczety, i twarzą ku ziemi powalono olbrzymi kolos Ramzesa, do dziś dnia oznaczający miejsce, w którem niegdyś wznosiła się południowa strona potężnej świątyni Ptah.

Cecylia Walewska.

A. S.

KLĄTWA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Dalszy ciąg).

A ci nawet, którzy z łaski jego mieli prawo uważać się za poszkodowanych, kiwając głowami powtarzali sobie tonem uznania.

— Z piekła rodem człowieczyna z niego — trzeba powiedzieć, ale że ma głowę na karku—to ma.

Zresztą względem ludzi wyższego stanowiska społecznego układny, pokorny prawie, miał minę psa złośliwego, upatrującego w każdym człowieku miejsca, w któreby go najboleśniej mógł ukąsić. Ten człowiek w szczególny sposób zdołał zaczepić się o Młodzińskiego, pomimo, że ostatni murem od całej społeczności żyjącej zdawał się odgrodzonym. Rzeczy odbyły się w ten sposób:

Czarnobrzeg była to, jak wiemy, mieścina położona w nizinie, otoczona z jednej strony lasem—z drugiej, przylegało tuż do ogrodów miejskich wielkie jezioro—latem miejsce kąpielowe dla całej chrześcijańskiej i izraelskiej ludności—zimą uprzywilejowany punkt zborny dziatwy miejskiej, która w godzinach mianowicie poszkolnych do późnego wieczora roiła się na niem. Odmrożonych nosów, zwichniętych nóg, rąk wybitych, a nawet otrząśniętych mózgów dziecinnych, nikt u nas w takich Czarnobrzegach nie liczy tak dalece. Co najwięcej po każdym wypadku obostrzanym bywa rygor na dzień jeden, lub dwa, poczem swawola dziecinna zwycięża starych samą wytrwałością swoją. Tego roku, w którym miały miejsce opowiadane przez nas wydarzenia, mrozy wcześnie ścisnęły powierzchnię jeziora, to też młynarz miejscowy i zarazem dzierżawca rybołówstwa, powycinał odrazu gęsto dosyć tonie, z uwagi, że się zima długa i ciężka zapowiadała. Niema zwyczaju u nas, jak wiadomo, stawiać w takich razach straży zobowiązanej do ostrzegania ludzi o niebezpieczeństwie, a zatkniętą dla formy wiechę w pobliżu przerębli obala zawsze od razu albo pierwszy przechodzień, albo pierwszy wiatr większy. Zresztą nie wydają się tonie na lodzie rąbane niczem tak nadzwyczajnie groźnem, a gdy idzie o dzieci, zwykło się mówić w takich, jak Czarnobrzeg, miejscowościach: „Jak się raz wody dobrze napije, to będzie wiedział później, że trzeba patrzeć pod nogi, a nie tam, gdzie wrony lecą.“

Pewnej tedy Soboty mała ludność miasteczka wyroiła się na ślizgawkę; między dziećmi uwijał się jakiś pucołowaty, dziesięcioletni chłopak, którego towarzysze z przekąsem pewnym nazywali panem adwokatem. Był to syn Uszyńskiego. Nie miał dzieciak wielkiego miru w szkole, bo raz, że się każdy o jego ojcu nasłuchał w domu rzeczy wcale niepochlebnych, a potem, że zawsze taki, jak Uszyński, nazywa się przybłędą, a przeto jako człowiek nie posiadający i nie osiadły u ludności czysto miejscowej nie używa wielkiego szacunku. Na tej tedy ślizgawce w onym dniu dla kilku ludzi niezapomnianym, wydarzył się wypadek chłopcu znanego nam pokątnego doradcy. Czy dzieciak był w istocie mniej bacznym od innych—czy może, jak to nawet później półgębkiem mówiono w Czarnobrzegu, potrącił go ktoś z rówienników—dość, że biedakowi temu sądzono było zaprzeczyć przysłowiu o niepodatności na przygodę wodną każdego kandydata do szubienicy, a do tej kategoryi liczył się w Czarnobrzegu mały Uszyński ze względu na pochodzenie swoje przynajmniej.

Zwyczajem powszechnie między dziećmi tego wieku przyjętym jest w takich razach rozbiedz się na wszystkie strony i szerzyć alarm, zamiast pomyśleć o ratunku natychmiastowym.

Tak też było i tutaj. Co żyło, ze strachem i krzykiem pędziło do domów, rozpowiadając głosem od wzruszenia i ocierań nosa przerywanym, że się Uszyński z kretesem wody opił, i że go teraz z pod lodu jedną chyba siecią będzie można wyłowić. Wprawdzie tuż za uciekającymi malcami skoczył w wodę czeladnik młynarski i chłopaka z wody wydobyć zdołał, ale że to mróz był siarczysty, więc i ten zuch nawet, nie myśląc się dalej zajmować wyratowanym, poprzestał na akcie połowicznego miłosierdzia, zostawił ocalonego własnemu przemysłowi, biegnąc co tchu do domu dla zmiany przemokłego ubrania. Zanim tedy wiadomość przedostała się do Uszyńskich, zanim oboje rodzice zdążyli przybyć na miejsce katastrofy, na chłopcu stężało od mrozu odzienie do szczętu, i nie było nikomu dziwno, że w kilka godzin potem, rozpalony dzieciak, majaczył sobie w gorączce jak wypada, uskarżając się przytem na tak zwaną kolkę w piersiach.

Wernera w tym dniu nie było w Czarnobrzegu, a nawet ci, którzy wiedzieli, gdzie się udał, nie wróżyli aż chyba nazajutrz około południa jego powrotu, nie pozostało tedy obojgu rodzicom, jak udać się do Młodzińskiego, zwłaszcza, że im to ze względu na wypadek niebezpieczny doradzali i aptekarz i felczer miejscowy. Dlaczego tak radzili, wbrew przekonaniu zapewne — trudno odgadnąć.

Z Młodzińskim poszła sprawa tak, jak się po nim w jego ówczesnym stanie spodziewać było można. Zapytany przez służącą, czy tym razem nie zrobi wyjątku, wprost i stanowczo odmówił — naciskany przez lamenty głośne i płacze matki, która zawodziła w sieni, cofnął się w głąb mieszkania — usłyszawszy groźby i dobijanie do okiennic, utwierdził się tylko w postanowieniu swojem pozostania w domu, zwłaszcza, że go przyjazd Wernera rozgrzeszył stanowczo ze wszelkich skrupułów, i że nakoniec odwykł już nawet po części od pokuseń wszelkich na swoją niezależność ze strony mieszkańców Czarnobrzegu.

Byłyby się może te rzeczy zatarły w pamięci ludzkiej wogóle, a przedewszystkiem byłyby nie przeszły w ten stan rozdrażnienia, gdyby choroba dziecka wzięła była obrót pomyślniejszy. Niestety stało się wręcz przeciwnie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA.

Poświęcenie pomnika.

Dnia 7 Października, o godz. 10 z rana odbyło się poświęcenie pomnika zmarłego przyjaciela młodzieży i byłego redaktora naszego pisma, Jana Kantego Gregorowicza.

Długoletni kierownik „Przyjaciela Dzieci“ i autor licznych prac dla ludu, niezatartemi głoskami zapisał swe imię w sercach czytelników. Niemal każdy z dorosłych dziś ludzi, ze sfery inteligentnej do najmilszych wspomnień dziecińśtwa zalicza chwile spędzone nad „Przyjacielem.“

Pomnik zasłużonego pisarza zdobi owalne popiersie z bronzu — u spodu wiją się wawrzynowe gałązki.

Napis brzmi: „Ś. p. Jan Kanty Gregorowicz, „Janek z Bielca,“ redaktor „Przyjaciela Dzieci,“ pisarz, ziemianin. Kochał lud i młodzież, poświęcił im swój talent i serce. Ur. 9 października 1818 r. zmarł w Warszawie 15 września 1890 r.“

Pomnik wzniosła rodzina zmarłego.

Chata włościańska.

Chatą wieśniaka naszego zajmowała się na ostatniem posiedzeniu swojem sekcya ludowa Towarzystwa hygienicznego. Odczytano dwa referaty. Dr. Grodecki przedstawił obraz mieszkań ludu naszego w powiecie marjampolskim i w części gub. łomżyńskiej, gdyż miał sposobność badać tylko te okolice kraju. Zdaniem mówcy, wieśniak polski okazuje widoczną skłonność do upiększenia swoich domów, do zaprowadzenia w nich większego ładu i nieznanych dawniej wygód. Jednem słowem, ulega wpływowi cywilizacyi. Chaty Litwinów, natomiast, przedstawiają się o wiele gorzej — brak w nich światła, powietrza i wielu innych warunków hygienicznych. Nie zanikł też smutny typ kurnej chaty. Zdaniem prelegenta postęp na tej drodze możnaby otrzymać dość łatwo i szybko, gdyby architekci miejscowi zajęli się wypracowaniem typu chaty włościańsklej. Towarzystwo hygieniczne przyszłoby im z pomocą i radą, udzieliło odpowiednich wskazówek.

Ponieważ chaty te budują zazwyczaj sami włościanie, wątpić można, czy zwracaliby się oni chętnie o plany do architektów. Potrzebaby najpierw przekonać ich, że zdrowiej i lepiej jest mieszkać w chacie obszerniejszej, przewietrzanej porządnie i czystej.

Drugim prelegentem był dr. Chełchowski. Opierając się na pracach Towarzystwa Przyjaciół Nauk, które z inicyatywy Staszica zajmowało się tą samą sprawą, tak żywo dziś obchodzącą Tow. hygieniczne, i zebrało dużo cennego materyału — prelegent starał się ukazać obraz chaty włościańskiej z przed lat stu.

Jest coś wzruszającego w tej ciągłości prac, która od Towarzystwa Prz. Nauk do współczesnego Towarzystwa hygienicznego przez całe niemal stulecie żywym przerzuca się mostem.

Żeglarze powietrzni.

Przed niedawnym czasem donosiły pisma nasze o wylądowaniu w okolicach Opoczna dwóch aeronautów francuskich, z których jeden, Ludwik Godard pomieszcza obecnie w pismach paryskich szczegółowy opis swojej podróży. W 24 godzin przebyli wędrowcy powietrzni drogę z Paryża do Królestwa Polskiego. Balon Saint-Louis płynął z szybkością 70 kilometrów na godzinę. Przeleciał ponad Meaux, Chateau Thierry, Reims, Koblencyą, Wrocławiem, Poznaniem. Tuż nad granicą Królestwa Polskiego rozległy się pod balonem strzały. To strzelała pograniczna straż pruska; nie uszkodziła jednak powietrznego statku. Burza i deszcz ulewny skłoniły podróżników do wylądowania. Znalazłszy teren odpowiedni, aeronauci puścili w ruch klapę powietrzną, i szczęśliwie przybili do ziemi. Nadbiegło natychmiast paru wieśniaków, żdziwionych przybyciem niezwykłych gości. Jeden z nich umiał po niemiecku, i aeronauci zdołali wyjaśnić mu cel swego przybycia. Zaprowadzono ich do najbliższej wioski, poczęstowano czarnym chlebem i mlekiem, poczem rozpoczęły się naturalnie kwestye pasportowe. Powietrzni żeglarze odprowadzeni zostali do Opoczna, ztamtąd odesłani do Warszawy, gdzie przy pomocy konsula francuskiego sprawa załatwioną została.

Tego samego dnia drugi aeronauta francuski hr. de Veaulx dotarł aż do Brześcia Kujawskiego, i ztamtąd nieuszkodzonym balonem powrócił do Francyi.

Goście z Grecyi.

Przez dwa tygodnie bawili w Warszawie deputowani do parlamentu greckiego pp. Vitalis i Gregoriades. Cudzoziemcy zwiedzali podobno szczegółowo Stare Miasto i jego pamiątki, ważniejsze kościoły i gmachy Warszawy, urządzenia kanalizacyjne i instytucye sądowe. Nadto przyjmowani byli uprzejmie w rozmaitych kołach towarzyskich. Ze wszystkich przedstawień teatralnych, na których byli obecni, największe wrażenie wywarły na nich „Halka“ i „Hrabina.“ Urok melodyj naszych silnie oddziałał podobno na przybyszów z dalekich stron.

Sienkiewicz we Francyi.

W księgarniach paryskich ukazało się drugie wydanie przekładu „Bez dogmatu.“ „Temps“ zapowiada druk „Rodziny Połanieckich,“ a „Revue de Paris“ pomieszcza krótką, ale bardzo zaszczytną wzmiankę o Sienkiewiczu.

Wynalazek.

Na wystawie paryskiej nagrodzony został złotym medalem nowy aparat do motorów naftowych, wynaleziony przez p. Holsteina z Łodzi. Dodać należy, że inżynierowie miejscowi, do których przedtem zwracał się wynalazca, nie chcieli nawet obejrzeć owego aparatu, wyrażając powątpiewanie, aby mógł on stanowić jakąkolwiek nowość w technice.

Przysłowie: „nikt nie jest prorokiem we własnym kraju“ powstało we Francyi, ale nigdzie znaleźć nie może tyle zastosowania, co u nas.

Park miejski w Łodzi.

Municypalność łódzka opracowała projekt przekształcenia części lasku miejskiego na park publiczny. Dla miasta tak gęsto zaludnionego, jak Łódź, tak przesiąkniętego wyziewami fabryk, byłby to bardzo pożądany nabytek. Park rozciągać się ma na przestrzeni mniej więcej 10 włók. Będą tam i stawy i ogród kwiatowy, lokal koncertowy i restauracya.

Jak najwięcej parków, jak najwięcej ogrodów w tych „pustyniach kamiennych“!

Z Towarzystwa Dobroczynności.

Do 35 ochron Towarz. Dobr. uczęszcza obecnie z górą po 3,000 dzieci dziennie — do sal zajęć po 254. W szwalniach nastąpi podobno od Nowego Roku zupełna reorganizacya. Do zajęć praktycznych dodaną zostanie nauka czytania i pisania na zasadach ogólnych, przyjętych dla szkół elementarnych.

Chór.

Urzędnicy administracyi kolei Warszawsko-Wiedeńskiej zorganizowali chór amatorski, liczący do 40 uczestników.

OFIARY:

Na Sanatoryum dla suchotników:
Anna Adamowicz z Kopyla rs. 1.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Stałej prenumeratorce. **Zaszła pomyłka. Do numeru 42 arkusz z krojami nie był dołączony.**

P. ryoz L. Przy dzisiejszych sposobach czesania zbytecznem jest przybieranie głowy kwiatami. Czasem między pukle włosów wpina się parę pukli kolorowej wstążki. Jeżeli młoda panienka lubi przystrajać głowę kwiatami, najodpowiedniej będzie gdy wepnie we włosy parę gałązek konwalii.

P. J. Bucewiczowej w Judranach. O biletach, lub obrazkach pamiątkowych z okoliczności złotego wesela nie słyszeliśmy. Najwłaściwszym w takim razie podarunkiem jest taca srebrna z odpowiednim napisem, monogramami i datą — serwis, lub coś w tym rodzaju.

Parafiance. 1) Czapeczka barankowa *bolero* nie jest dość poważnym strojem, by można było przypinać do niej welon żałobny. 2) Witając mężczyznę poważnego, starszego wiekiem należy powstać z miejsca—w przeciwnym razie jest to zbyteczne. 3) Arbuz podawać należy pokrajany w płaterki.

ODPOWIEDZ.

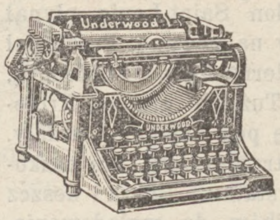
W-na Madziarowska w Grodnie. Wódki gruszkowej nie robi się wcale, a na inne pytania swoje znajdzie Pani wyczerpującą odpowiedź w moich „Jedynych praktycznych przepisach wszelkich zapasów śpiżarnianych“ wydanie 18.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Oryginalne **FONOGRAFY** Edisona

Grafofony i Gramofony



po zniżonej cenie.

oraz wielki wybór oryginalnych cylindrów i płyt

jako też najlepsze

MASZYNY DO PISANIA

z widocznem pismem

„Underwood,“ „Hammond“ i inne

POLECA **Magazyn Optyczny**

G. GERLACHA

w Warszawie (Czysta 4)

Cenniki bezpłatnie 2125

Dla kaszlących i osłabionych Ekstrakt i Karmelki

LELIWA

w składach aptecznych i Aptekach.

„Moskiewski Magazyn”

Marszałkowska 141.

Na nadchodzący sezon poleca *w wielkim wyborze różne Materye jedwabne po cenach fabrycznych.*

PRACOWNIA I MAGAZYN MEBLI

Marszałkowska № 149. **Maksymiljana Kalmusa** Próżna № 2.

Meble stylowe gotowe i na obstalunek. 2083

KOMPLETNE WYPRAWY KUCHENNE

NACZYNIA KUCHENNE i GOSPODARCZE

J. ZABOKRZECKI i Ska

Marszałkowska № 124 (dom Rossja)

CENY NIZKIE

Uwaga!!

wyłączna sprzedaż **Naczyń Niklowych** Stołowych Kuchennych ze znanej największej walcowni niklu Fleitman, Witte & Co.

Naczynia te są ***najbardziej estetyczne*** i ***najbardziej hygieniczne,*** gdy **naczynia miedziane, źle pobielone, stają się często powodem długich i ciężkich chorób żołądkowych.**

F. Pierzchalski **SZKŁO, PORCELANA** wybór wielki ceny nizkie

Mazowiecka № 8.

Do upiększenia mieszkań duży wybór galanteryi. Majolika i t. p.

Niniejszem mam zaszczyt zawiadomić Sz. Publiczność, że dnia 7 b. m. otwartą została Cukiernia pod firmą ***Stanisław Ciecierski*** **Krakowskie Przedmieście Nr. 1** (wprost Kopernika). 16-letnia moja praktyka w firmie B. Semadeni w Warszawie daje gwarancyę dobroci moich wyrobów. Cukiernia została z komfortem urządzoną, posiada salę szachową i bilardową, czytelnię.

z poważaniem ***St. Ciecierski.***

M-ME WANDA

poleca **Nowości**

2145

jesienne zagraniczne i krajowe,

przytem przyjmuję wyprawy całkowite ze swoich lub powierzonych materyałów

Erywańska 16.

SKŁAD TOWARÓW ŻELAZNYCH



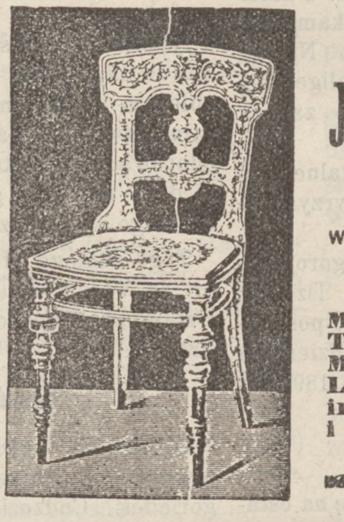
Naczyń kuchennych

Wyżymaczek Amerykańskich

2148 **Bań do mleka**

Czesława Willmana

Marszałkowska 107 (róg Chmielnej).



AKCYJNE TOWARZYSTWO

Fabryki Mebli Wiedeńskich

JAKÓBA i JÓZEFA KOHN

Warszawa, Plac-Teatralny № 11.

Poleca

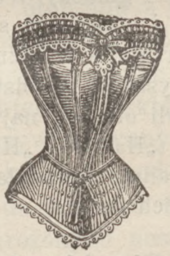
wielki wybór najgustowniejszych i najelegantszych mebli wiedeńskich,

mianowicie:

MEBLE ZWYCZAJNE, MEBLE FANTAZYJNE, MEBLE BUDUAROWE, MEBLE GABINETOWE, MEBLE SALONOWE i t. p. **wyplatane, wypalane, imitacya skóry w różnych kolorach i deseniach, kryte materyą, skórą, pluszem** i t. p.

Pierwsze źródło tej branży.

CENY PRZYSTĘPNE 2



FABRYKA GORSETÓW

HELENE DU BOIS

132. Marszałkowska 132. 1-e piętro front.

Poleca **gorsety**, dla ułomnych, do karmienia, na włosiu, do konnej jazdy, **szelki** do prostego trzymania, oraz dziecinne na sznurkach. 2130

Na prowincyę wysyłam za zaliczką pocztową.

NOWOŚĆ!

Patentowana paryska szpilka do kapelusza „La Parisienne,“ nie niszczy kapelusza, nie kaleczy i nie może być zgubioną. Sprzedaż w sklepach norymberskich i magazynach mód.

Egzystująca od roku 1824

FABRYKA WYROBÓW PLATEROWANYCH

i Srebrnych 84 próby

Józefa Fraget,

w Warszawie, ulica Elektoralna Nr. 16.

WŁASNE MAGAZYNY ZNAJDUJĄ SIĘ:

W WARSZAWIE: { **Senatorska 17, Krakowskie-Przedmieście 69, Nalewki 16.** **ŁÓDŹ: Piotrkowska 16.**

2010

Nowo-przebudowany i powiększony

MAGAZYN FUTER

TYTUSA KOWALSKIEGO

ul. Senatorska 10 w Warszawie.

ma zaszczyt zawiadomić, że do kroju damskich ***Żakietów Palt i Rotund*** sprowadził krojczego z najpierwszego domu paryskiego „Maison Felix“, Faubourg St. Honoré № 15 w Paryżu, który to krojczy tamże przez lat 14 pracował. Magazyn poleca gotowe futra damskie i męzkie, mufki, kołnierze, boa, dachy i t. p. Puch edredonowy. 2157

KĄPIELE

24. Nowy Świat 24,

Wanny porcelanowe i niklowe

Ceny od 35—50 kop.

Rękawiczki **NAJLEPSZE.** U KOWALKIEWICZA Warszawa, Chmielna 44 przy Marszałkowskiej

Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Октября 1900 г. Redaktor Jan Skiwski. DODATEK.

Wydawnictwo i druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno Wydawniczego.